

# Zeszyty

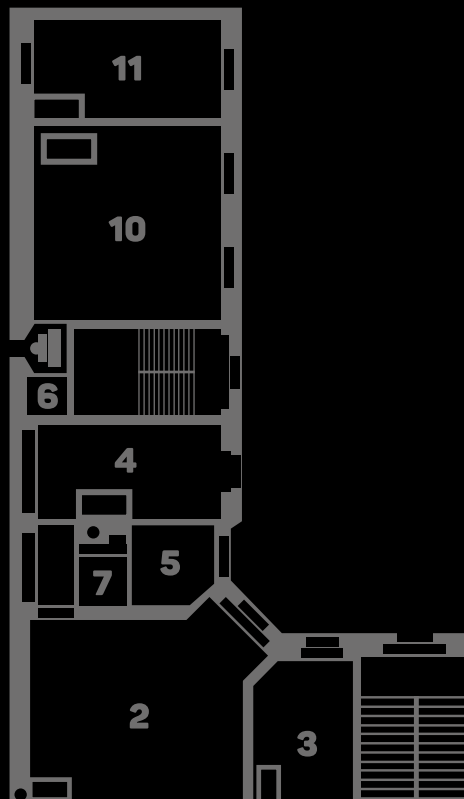
# #46

## Artystyczne

„Berliński pokój”  
– współczesne  
relacje między  
Poznaniem  
a Berlinem

Uniwersytet Artystyczny im. Magdaleny Abakanowicz w Poznaniu

2(46)/2024



**Z A**

---

„Berliński pokój”  
– współczesne  
relacje między Poznaniem  
a Berlinem

***In***  
***memoriam***

# Wspomnienie o profesorze Witoldzie Gyurkovichu \_\_\_\_\_

Władysław Wróblewski

Opracowanie: Mateusz Wróblewski

Niniejszy tekst jest wspomnieniem dość osobistym, subiektywnym. Stąd też sądzę, że nie uchybię nikomu, pisząc tutaj po prostu o Witku – moim bliskim kole-dze, którego znałem ponad sześćdziesiąt lat. Niektórzy z naszego grona akade-mickiego – Olek Kuczma, Marek Owsian – nazywali go pieszczotliwie Dziurą, Henio Regimowicz – Europejczykiem. Dla mnie Witold Gyurkovich na zawsze pozostanie Witkiem, człowiekiem, który wiele energii poświęcił, by wbrew przeciwnościom i wątpliwościom niektórych dbać o godność naszej społeczno-ści artystów, projektantów, pedagogów.

Żałuję, że pamięć nie pozwala mi na bezpośrednie zacytowanie ciekawszych dialogów, których byłem uczestnikiem. Mam jednak wrażenie, że pomimo nie-wyraźnych detali, jego sylwetka będzie dość czytelna także dla osób go niezna-jących.

Odnalazłem jedno przejrzyste i jasne wspomnienie, które stało się kołem za-machowym dla reszty tekstu. Wielu zna tę anegdotę, bo w niektórych kręgach urosła do miary legendy. Może jednak zdarzy się, że dla kogoś z czytających bę-dzie rzeczą nową.

To było jakoś w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych. Jako członkowie Rady Wyższego Szkolnictwa Artystycznego jeździliśmy z Witkiem na obrady do Radziejowic, Obór lub Dłużewa. Do Warszawy dostawaliśmy się pociągiem, a stamtąd autokar zabierał nas spod hotelu Europejskiego w miejsce docelowe. Ważnym rytuałem w trakcie „międzylądowania” była szybka kawa w restaura-cji hotelu Marriott. Zdarzyło się kiedyś, że kelnerka zapytała nas, czy życzymy sobie tę kawę w szklance czy filiżance. W odpowiedzi Witek powiedział z naci-skiem i powagą:

– Proszę pani, w Europie kawę pija się z filiżanek.

Otóż to. W Europie. Jadąc wtedy do Warszawy, chociaż fizycznie oddalaliśmy się od zachodniej granicy naszego kraju, w istocie zmierzaliśmy ku tej Witka wy-marzonej Europie. Na obradach RWSA zażywaliśmy światowości, spotykając się i dyskutując z ludźmi, których nazwiska były znane i cenione nie tylko w Pol-

sce. Właśnie tam miałem okazję poznać Maję Komorowską, Leonarda Pietraszaka, Mieczysława Jahodę, Henryka Kuźniaka. Wśród obradujących byli także nasi koledzy „po fachu” – Zbyszek Horbowy czy Michał Jędrzejewski. W ich towarzystwie Witek czuł się wybornie. Jego elokwencja połączona z szerokim spektrum wiedzy i ugruntowanym światopoglądem sprawiały, iż lubił nadawać ton dyskusjom. Czuł, że o sprawach wielkich należy rozmawiać z ludźmi właściwego formatu.



Il. 1. Jan Berdyszak, Witold Gyurkovich, Rajmund Hałas, Czesław Kowalski i Władysław Wróblewski na otwarciu wystawy obrazów Wacława Twarowskiego z Poznania w Galerii odNOWA przy ul. Wielkiej, 1966. Fot. Jerzy Nowakowski. Źródło: [cyryl.poznan.pl](http://cyryl.poznan.pl) (sygn. CYRYL\_41\_1\_12\_0047)

Pewnie podskórnie zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa tego, co Nabokov kiedyś określił mianem podawania sobie z pokolenia na pokolenie idei, które stopniowo przekształcają się w nadnaturalnych rozmiarów klocki z gipsu, czekające, aż ktoś przyjdzie i walnie w nie młotkiem. Nadużywanie wielkich słów jest ryzykowne. Groźba ośmieszenia czai się na niejednym poziomie. O ile niebanalne postrzeganie rzeczywistości i szeroki horyzont snutej narracji skutecznie zabezpieczały Witka przed drwinami nakierowanymi na intelektualną stronę jego wypowiedzi, o tyle styl bycia i prowadzenia rozmów – śmiertelnie poważny i nasycony snobizmem – wielu irytował i był powodem licznych nieporozumień. Do spięć dochodziło zwłaszcza w sytuacjach, gdy interlokutor odbierał słowa pouczeń lub krytyki *ad persona*. Tymczasem ci, którzy znali Witka dobrze, wiedzieli, że osobiste wycieczki nie leżały w jego naturze, a jego komentarze zawsze kierowane były *ad meritum*. Zresztą nawet osoby mu życzliwe musiały dostrzegać dość trudną do zaakceptowania regułę konsekwentnego utrzymy-

wania przez Witka dystansu wobec stojących hierarchicznie niżej od niego przy dość nachalnym spoufalaniu się z tymi, do których poziomu dopiero aspirował.

Ciekawe były jego relacje z równie silnymi, lecz skrajnie odmiennymi osobowościami, kształtującymi charakter dydaktyczny kierunków projektowych naszej uczelni. On – liberał i z powołania światowiec nie mógł zaakceptować konserwatywnych i skoncentrowanych na patriotyzmie lokalnym poglądów Rajmunda Hałasa. Zdawał się jednak świadomym ogromnego wpływu, jaki miał Rajmund na swoich młodszych wiekiem kolegów, że w sposób nie do końca dla Witka zrozumiały był dla nich autorytetem, który należało uszanować. Trudna też była jego relacja z Aleksandrem Kuczma. Traktował Olka jako uosobienie owej niezwykle cenionej *maîtrise*, rzemieślniczej *virtuosité*, którą sam miał dobrze oswojoną teoretycznie, lecz nie manualnie. Całą trójkę łączyło zamiłowanie do kształtowania wartości, których jedynie symbolicznym nośnikiem miały być projektowane obiekty. Witek jako twórca z założenia efemerycznych wystaw zdawał się zazdrościć meblarzom i dizajnerom szansy na wykreowanie dzieł ikonicznych, mogących stać się klasyką. Dzisiejsze czasy w jakimś stopniu przyznają mu rację. Meble Kuczmy i Hałasa przeżywają swój renesans. Tymczasem dzieła Witka – te, którym oddawał najlepszą energię i czas – stopniowo odchodzą w zapomnienie. Znamienne, że obiekt jego autorstwa, który funkcjonuje do dziś w kolekcji Muzeum Sztuk Użytkowych na Wzgórzu Przemysła, to wiklinowy fotelik, zaprojektowany przez niego jeszcze jako studenta dla klubu Odnowa. Zabawne jest to, że także w moim przypadku jedynym obiektem w tej kolekcji jest komoda, którą zaprojektowałem jako pracę dyplomową na PWSSP w Poznaniu.

I właśnie w tych odległych czasach studenckich należy w mojej opinii szukać wyjaśnienia powodów, dla których kariera Witka podążyła taką, a nie inną ścieżką. Wtedy i tam, na tej uczelni, która dawała wspaniałe możliwości prawdziwego studiowania, poznałem go jako starszego kolegę. Wyróżniał się umiejętnościami oratorskimi, pragmatyzmem i czymś, co dziś pewnie nazwalibyśmy przedsiębiorczością, a wtedy złośliwi określali mianem żyłki do interesów. Potrafił zaplanować organizacyjnie nad wieloma zleceniami naraz, mobilizując do pracy mniej zaradnych kolegów. Szybko zrozumiał, że miejscem, dającym nie tylko możliwości zarobkowe, ale będącym prawdziwym oknem na świat, są Międzynarodowe Targi Poznańskie.

W tamtych czasach artyści plastycy, bo taki właśnie zawód otrzymywało się po ukończeniu naszej uczelni, byli pospółu projektantami i wykonawcami stoisk. Liche możliwości materiałowe i kiepskie narzędzia zaprawiały nas w boju. Na targach pracowali wszyscy. Ale nie każdy miał tam tyle do powiedzenia, co Witek. Jako chyba pierwszy artysta z naszego środowiska jeździł zakupionym jeszcze pod koniec lat pięćdziesiątych samochodem. Był to mikrus. Witek miał prawdziwy talent do projektowania rozwiązań efektywnych wizualnie i możliwych wykonawczo. Rozumiał jak mało kto, na czym polega istota dobrego, wyróżniającego się optycznie stoiska. Sprawiał wrażenie, że przybył z innej, tej bardziej kolorowej, lepszej rzeczywistości, i uczy nas mechanizmów, które nią rządzą. Większość z nas nie miała pojęcia o tym, jak działa gospodarka rynkowa. Jej reguły, skoślawione przez komunistyczny system kształcenia przeczuwaliśmy w teorii, ale nie mieliśmy jej w krwioobiegu.

A Witek cały sobą marzył o tej zachodniej, kapitalistycznej Europie, analizował ją, bratał się z nią w wyobraźni i autentycznie cierpiał, że zostaliśmy od niej siłą oderwani. Na każdym kroku sprzeciwiał się dziadostwu, jakie nas otaczało. Lecz był to sprzeciw konstruktywny, twórczy, dążący do tego, by wbrew wszelkim przeszkodom niwelować tę obserwowaną przez nas wszystkich przepaść cywilizacyjną. Działanie na rzecz zachodnich podmiotów prezentujących się w czerwcu każdego roku na MTP traktował każdorazowo jako okazję do wyciążenia wiedzy związanej z nowymi technologiami wystawienniczymi. Dzięki niemu mieliśmy dostęp do takich narzędzi jak chociażby letraset.

Nie pamiętam, kiedy został zatrudniony na PWSSP. Najprawdopodobniej zaproponował mu pracownię projektowania wystaw profesor Jan Węclawski, za którego protekcją kilka lat później ja również zasiliłem grono pedagogów i staliśmy się kolegami z pracy.

Silna osobowość Witka i umiejętności przekonywania do swoich racji sprawiły w końcu, że w roku 1987 został rektorem naszej uczelni. Pozostałem przy nim prorektorem do spraw artystycznych po dwóch kadencjach na tym samym stanowisku u boku Jarka Kozłowskiego. Kadencja Witka przypadła na czas upadku komunizmu. Ta Europa – liberalna, otwarta, nowoczesna wlała nam się przez to samo okno, które z takim trudem Witek przez tyle lat otwierał. Brak barier ideologicznych unaocznił nam nagle skalę barier finansowych. Niby wszystko nam było wolno, a w istocie niewiele mogliśmy, bo na każdym kroku ograniczały nas rachunki.

Obrazem – dla jednych słusznego wykorzystania owych możliwości, dla innych nędzy i rozpaczony był zakupiony przez Witka dla uczelni autobus, który miał integrować naszą kadrę poprzez wspólne wyjazdy. Prawda, był to rzeź, mający lata swej świetności dawno za sobą, ale rzeczywiście nas integrował.

Jako rektor Witek czuł się w obowiązku panować programowo nad wszystkimi kierunkami studiów, znajdującymi się w ofercie naszej uczelni. Jego trzeźwe i przenikliwe obserwacje oraz szybkie i sprawne wnioskowanie predestynowały go do roli arbitra. Niestety opinie, które wygłaszał, nie wszystkim przypadły do gustu. Za szczególnie kontrowersyjny uchodził pogląd, że sztuka współczesna, nakierowana na nowe media, podlega takiemu samemu rygorowi technicznemu, jak sztuki projektowe, że zastępowanie tradycyjnych technik eksperymentalnymi środkami materializacji dzieła każdorazowo zmusza twórcę do opracowywania nowego standardu realizacyjnego. Te kwestie okazały się bardzo drażliwe, przenosiły bowiem naszych twórców sztuki koncepcyjnej do sfery działań, w których niejako powinni skorzystać z pomocy kolegów projektantów. To aż nadto sugerowało chęć zburzenia porządku, w którym projektanci zajmują miejsce poza artystycznym Parnasem. Twórcy z naszego pokolenia, kształcącego się w czasach „artystów plastyków”, odruchowo buntują się przeciwko temu porządkowi. Ale obecna rzeczywistość wydaje się stawiać nas na przegranej pozycji, zwłaszcza że coraz więcej projektantów młodego pokolenia neguje swą artystyczną tożsamość.

Dziś, gdy wspominam walkę Witka z biedą czasu przemian ustrojowych, jego teatralne próbowanie wina przed ważnymi, zaproszonymi do restauracji gośćmi z ministerstwa, choć to była tania bułgarska Sofia, bo na inną nie było nas stać, myślę, że nie mógł inaczej. Tego wymagała konsekwencja, jakiej podporządkował swoje życie, konsekwencja dążenia do Europy – tej, która nigdy nie przestała go fascynować, inspirować, chociaż nie byłby sobą, gdyby oszczędził jej krytyki. Żyjemy w arcyciekawych czasach. Ta nasza wytęskniona, pozornie przywrócona Europa w przyspieszonym tempie starzeje się, a wartości, o które walczył Witek, gwałtownie się dewaluują. Pewnie byłby boleśnie zainteresowany ciągiem dalszym zdarzeń, za którego horyzontem się znalazł. I na pewno znalazłby dla niego stosowny, niebanalny komentarz.



---

**Witold Gyurkovich (1933–2023)** – architekt specjalizujący się w architekturze wnętrz i wystawiennictwie. Studiował w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Poznaniu, gdzie uzyskał dyplom w 1958 roku na Wydziale Architektury Wnętrz. W ramach stypendium rządu włoskiego odbył staż w Mediolanie w pracowni Franco Albiniego. Przez wiele lat kierował Pracownią Projektowania Wystaw na Wydziale Architektury i Wzornictwa PWSSP w Poznaniu. W latach 1987–1990 pełnił funkcję rektora uczelni. W 1991 roku uzyskał tytuł profesora zwyczajnego.



Il. 2. Witold Gyurkovich, z archiwum UAP

Autor kilkudziesięciu projektów wystaw targowych, między innymi ekspozycji „Polskiego Mebla” na Międzynarodowych Targach Poznańskich (1977), ekspozycji handlowych przedsiębiorstw Polsrebro, Społem oraz Chemia na Wiosennych Targach Krajowych (1978, 1979), ekspozycji „Zabawki” na Jesiennych Targach Krajowych w Poznaniu (1984). Projektował kawiarnie plenerowe dla Społem (1985) i przedsiębiorstwa Wilczyna (1986), miasteczko handlowe i wystawę rolniczą dla dożynek w Szamotułach (1986). Był autorem kompleksu handlowego dla Polintersportu (1986). Od 1970 prowadził Międzynarodowe Plenery Wikliniarskie, a od 1975 roku projektował scenografię Jarmarku Świętojańskiego w Poznaniu. W 1978 roku wspólnie z Jarosławem Maszewskim wykonał projekt ekspozycji archeologicznej oraz wnętrz w zamku renesansowym w Świdnicy koło Zielonej Góry. W 1980 roku zaprojektował ekspozycję „Pedagogzy PWSSP” z okazji 60-lecia PWSSP w Poznaniu, zorganizowaną w Muzeum Narodowym. Jest autorem projektu dla Muzeum Armii Poznań – Małej Śluzu na Cytadeli w Poznaniu, w której zaprojektował także biura i zaplecze muze-

alne, a także ekspozycję historyczną „Opór narodowy 1939–1945 w Poznaniu (1982–1984)”. W 1987 roku stworzył ekspozycję historyczną w Muzeum Początków Państwa Polskiego w Gnieźnie „Cystersi w Polsce i Europie”. W latach 90. zaadaptował projekt nowego skrzydła Muzeum Narodowego w Poznaniu, zaprojektowanego na przełomie lat 60. i 70. przez warszawskiego architekta Mariana Trzaskę.

Profesor Witold Gyurkovich był uczestnikiem licznych wystaw i konkursów w kraju i za granicą. Został odznaczony Złotą Odznaką Zasłużonego Działacza Kultury, Złotym Krzyżem Zasługi, Nagrodą Ministra Kultury i Sztuki oraz Złotą Odznaką ZPAP. W 2019 roku, w stulecie istnienia poznańskiej uczelni artystycznej, otrzymał Medal 100-lecia Odzyskania Niepodległości.

# Henryk Regimowicz

## - architekt wnętrz, scenograf, pedagog

---

Anna Kochnowicz-Kann

- Prowadził znakomicie zajęcia i – co ważne – wbrew hołubionym przez innych konwencjom, był niezwykle otwarty intelektualnie, nieustannie poszukiwał nowych dróg, nowych rozwiązań, no i wierzył w przyjaźń. Miał fantastyczne poczucie humoru, dzięki któremu zachowywał też dystans do siebie samego. Potrafił celnie „ukłuć” innych, ale bez złośliwości. Ogromnie cenił własną godność i dlatego bywał bezradny, gdy ktoś postępował wobec niego nie w porządku. Jak mówił, jego mistrzem był Stanisław Zamecznik, u niego zresztą robił dyplom; twierdził, że to od niego najwięcej się nauczył, i faktycznie widać było tu jakieś pokrewieństwo myślenia, skłonność do syntezy... – tak wspominał profesora Henryka Regimowicza we wrześniu 2024 roku profesor Jarosław Kozłowski. Przyznawał, że mniej znane mu są jego dokonania projektowe czy scenograficzne, bo jednak zawodowo byli na różnych biegunach, nawet na uczelni, ale dobrze pamięta jego niezwykłą osobowość. I żał, jaki w nim został po odejściu z UAP, z którą był związany od 1963 roku, od czasu studiów na Architekturze Wnętrz.

- Heniu był bardzo lubiany przez studentów, umiał stworzyć przyjazną atmosferę w pracowni – dodaje profesor Marek Owsian, nie tylko kolega z pracy, ale i przyjaciel rodziny Regimowiczów. – Kiedy został dziekanem Wydziału Architektury Wnętrz i Wzornictwa Przemysłowego w 1987 roku, zmienił drogę kształcenia na kierunkach projektowych: studenci mogli sami wybierać pracownię główną i dwie mniejsze, w jednym miejscu spotykali się ci z drugiego roku i piątego... To była rewolucja. Heniu też wspaniale rysował. Pamiętam, jak kiedyś stworzył perspektywę pewnego wnętrza w Poznaniu, projekt nie został zrealizowany, ale niedoszły inwestor oprawił tę pracę w ramki i powiesił na ścianie. To był piękny obraz. Do tej pory wzbudza zachwyt... Bardzo lubił projektować wnętrza. Spod jego ręki wyszły między innymi Novotel w Poznaniu, Bank PKO BP SA przy placu Wolności i drugi na Starym Mieście. Pierwszą dużą jego realizacją były hotele górskie w Bułgarii, ale projektem, którym mógł się też spokojnie chwalić, był jego własny dom na Cytadeli. Profesor Schmidt, u którego Heniu robił asystenturę, był architektem, często zlecał studentom ćwiczenia, w których chodziło o zmianę kontekstu budynku, zależało mu szczególnie na przeobrażeniach od strony plastycznej – to chyba tam zrodziło się myślenie He-

nia o scenografii, tak mi się wydaje... Chociaż z drugiej strony, może to Zamecznik zaraził go miłością do teatru? Teatr był ważny. Tu plany chyba bardzo mu pokrzyżował stan wojenny.

– Świetnie znał się na architekturze, umiał ją czytać, analizować, dużo podróżował – mówi kolejny przyjaciel profesora Regimowicza, architekt Piotr Wędrychowicz – i z tych podróży przywoził wiele tematów, które potem rozwijał na przykład w swoich dysertacjach naukowych. Podróże były dla niego rzeczywistą inspiracją. Zajmował się nie tylko wnętrzami, interesowała go szeroko rozumiana przestrzeń publiczna, miejsca, w których mogły tworzyć się relacje międzyludzkie – ulice, place. Jako człowiek miał klasę, był uczciwy, porządny, kulturalny, a jako twórca – wybitny. Tak uważam. Nie chwalił się swoimi osiągnięciami. Kiedy się spotykaliśmy, rozmawialiśmy o wszystkim, tylko nie o pracy. Gdyby nie Zdzisław Wardejn, który był moim kolegą jeszcze z czasów szkolnych, nie wiedziałbym, że Heniu interesował się teatrem i robił scenografie; Wardejn zaprosił go do współpracy, zrobili razem *Klucznika* Wiesława Myśliwskiego w Teatrze Polskim w Poznaniu [prem. 9.06.1979 – przyp. AKK]. Pamiętam jego świetne rysunki i projekty kostiumów. A poznaliśmy się w 1969 roku, kiedy miał obronę dyplomu – tego samego dnia bronił się mój przyjaciel, z którym Heniu razem studiował, Krzysztof Stanek. A potem zamieszkaliśmy po sąsiedzku, na Cyta deli, gdzie w latach siedemdziesiątych zaczęło powstawać osiedle dla twórców, wymyślane przez profesora Twarowskiego. Każdy budował swój dom sam, a ja obserwowałem, co robił Heniu, i widziałem, jak zdolny z niego wnętrzarz. Jego żona też miała nieprzeciętny talent: projektowała unikatowe ubrania, bardzo piękne.

– Twierdził, że praca w teatrze zmieniła jego spojrzenie na projektowanie wnętrz – wspomina profesor Krzysztof Kochnowicz, długoletni przyjaciel profesora Regimowicza, ongiś jego asystent, a wcześniej student w pracowni profesora Jerzego Schmidta, w czasach, kiedy asystentem był tam Henryk Regimowicz. – Nie wiem, czy w wypadku profesora Regimowicza mówienie o wnętrzach oddaje istotę jego twórczości, skłaniałbym się raczej ku projektowaniu przestrzeni. Oprócz typowych wnętrz, którymi zajął się dosyć późno, interesowała go przestrzeń ulicy, przestrzeń placów, przestrzenie wystawiennicze – mała skala architektury, ta najbliższa skali człowieka, i potencjał emocji, jaki niesie. Architektura jako forma przeżycia – to go interesowało, tak ją traktował. Wydaje mi się, że z czasem coraz bardziej odchodził od klasycznego rozumienia architektury

jako związku funkcji i formy. Dowodem na to pracownia, jaką stworzył w końcówce lat osiemdziesiątych: Pracownia Znak w Architekturze. Ale też praca ze studentami szczecińskiej Wyższej Szkoły Sztuk Użytkowych; jeden z tematów przez nich realizowanych to był... plakat przestrzenny. Na takie jego spojrzenie na przestrzeń – tak myślę – niebagatelny wpływ miał kontakt w czasie studiów ze Stanisławem Zamecznikiem, o którym później często opowiadał swoim studentom. Na pewno duże znaczenie miało też spotkanie z profesorem Schmidtem, w którego Pracowni Architektury Wnętrz był asystentem. Ta pracownia była otwarta na eksperymenty, na czerpanie inspiracji z różnych obszarów sztuki. Obaj panowie świetnie się uzupełniali; profesor był architektem i urbanistą, a Henryk niespokojnym artystą realizującym się w scenografii. Profesor Schmidt często powtarzał, że nie wolno zamykać się w jednej dziedzinie, że powinniśmy mieć poza projektowaniem „coś jeszcze”, co nas zwiąże ze sztuką. Taka otwartość kreowała nasze, absolwentów, postawy. Z mojego rocznika dyplomantami pracowni byli między innymi profesor Mirosław Pawłowski i profesor Zbigniew Taszycki, którzy realizują się zawodowo poza obszarem architektury wnętrz... Kiedy po ośmiu latach od ukończenia studiów Henryk zaproponował mi udział w konkursie na stanowisko asystenta w swojej nowo powstającej pracowni, przede wszystkim zaintrygowały go moje realizacje z zakresu Type Designu... Niezwykle inspirujące dla niego okazały się też rodzinne, wakacyjne wyjazdy Fiatem 126p... Czysty heroizm. To przecież były czasy zamkniętych granic i olbrzymiej dysproporcji w zarobkach w kraju i Europie Zachodniej; wstęp do muzeum pochłaniał pokaźną część oszczędności... Ja sam mam na swoim koncie letnią podróż małym fiatem do Bułgarii. Koszmar. A Henryk zjeździł „maluchem” całą Europę – od Grecji po Hiszpanię. Te wyjazdy pozwoliły mu na inne spojrzenie na przestrzeń publiczną, na przestrzenie otwarte jako miejsca, które mają sprzyjać kontaktom międzyludzkim. Stąd właśnie wziął się temat jego doktoratu (wówczas zwanego pierwszym stopniem kwalifikacyjnym) – „Teatr ulicy jako przestrzeń życia w mieście”... Jakby potwierdzeniem nieustającej potrzeby wychodzenia poza rutynę i wewnętrznej konieczności konfrontowania się z nowymi zjawiskami, było utworzenie przez niego kolejnej pracowni: Pracowni Projektowania Interfejsu. Warto też wspomnieć o jego relacjach ze studentami: lubili go i otwierali się przed nim – wiedział o nich dużo, rozumiał ich problemy. Mogli liczyć na jego pomoc, był ich prawdziwym mentorem. Pamiętam, że kiedy jeszcze sam studiowałem, odwiedzał nas przed sesją egzaminacyjną w akademiku, by sprawdzić, jak nam idą przygotowania, i ewentualnie pomóc w ostat-

niej chwili. Regularnie też organizował w swojej pracowni, przed Świątami Bożego Narodzenia i Wielkanocą, spotkania. To już niestety zanikająca tradycja. W ogóle lubił spotkania z ludźmi, lubił rozmowy, był świetnym kompanem. Po prostu lubił ludzi. Takimi, jakimi są... Mówi się, że można kogoś lubić mimo jego wad. A Henryk lubił ludzi właśnie dlatego, że je mieli...

\*

Ja sama profesora Regimowicza poznałam ponad 30 lat temu. Spotykaliśmy się prywatnie, rodzinnie, czasami wymienialiśmy uwagi na Facebooku. Zapamiętałam go jako pogodnego człowieka z uśmiechniętymi oczami, celnie i krytycznie oceniającego otaczającą rzeczywistość, zdarzenia, które się wokół rozgrywały, ale unikającego rozpamiętywania tego, co niedobrego wydarzyło się w przeszłości i nie za bardzo skorego do opowiadania o swoich zawodowych osiągnięciach. A było ich sporo! Jeśli mówił o nich, to zdawkowo, na ogół umniejszał siebie, wrzeszał ramionami, jakby to było nieważne. Zawsze z dystansem podchodził do siebie. Pewnie to wynikało z jego osobowości, jak zauważył profesor Kozłowski, jego poczucia humoru i jakiejś wewnętrznej potrzeby kierowania własnej uwagi na przyszłość, a nie przeszłość: w rozmowach z nim nigdy nie było jakiegokolwiek „martyrologii”, żadnego budowania pomników, żadnego pamiętnikarstwa. Być może taką postawę ukształtowała jego własna historia, albo (i) wychowanie: urodził się wszak na Wołyniu w 1944 roku, po wojnie rodzice-repatrianci osiedli na Dolnym Śląsku. Co można było zabrać ze sobą z tamtego domu? Pamięć. I potem albo oplatać się tęsknotą za tym, co było, albo budować świat od nowa, dostrzegać i korzystać z możliwości, jakie stwarzał teraz czas, odnajdywać w tym wszystkim miejsce dla siebie. Tak, takie doświadczenie zmienia stosunek do przeszłości. Oczywiście, Henryk nie mógł mieć własnych wspomnień z tamtego okresu, ale podobno trauma rodziców przechodzi na dzieci. Być może to oni go nauczyli, że ważna jest terażniejszość i przyszłość – tu i teraz – i nakręcali ten jego wewnętrzny mechanizm, który sprawiał, że nieustannie chciał poznawać coś nowego, uczyć się, rozwijać. Ucząc i rozwijając innych...



Il. 1. Henryk Regimowicz. Prezentowane na planszy scenografie do sztuk: Juliusz Słowacki, *Kordian*, Teatr Polski, Poznań / Henrik Ibsen, *Hedda Gabler*, Teatr Współczesny / Wrocław / Henrik Ibsen, *Budowniczy Solness*, Teatr Polski, Poznań / Edward Bond, *Ocaleni*, Teatr Polski, Poznań / Sławomir Mrożek, *Pieszko*, Teatr Polski, Poznań / Emil Zegadłowicz, *Łyżki i księżyc*, Teatr Polski, Poznań

Wszystko ma znaczenie, wszystko wpływa na to, kim i jacy jesteśmy. Ważna jest także kolejność, w jakiej to się dzieje. Nie wiem, jak to się stało, że Henryk swoją przygodę ze sztuką rozpoczął w Liceum Plastycznym we Wrocławiu. Czy miał już wtedy konkretną wizję siebie, czy po prostu dobrze rysował i ktoś podpowiedział mu tę szkołę? Co lubił rysować? Portrety, martwe natury, krajobrazy, domy? Podobno marzyła mu się architektura, ale zdawał na PWSSP w Poznaniu – na Wydział Architektury Wnętrz. Może ta architektura to tylko plotka, albo jakiś żart kiedyś wypowiedziany? Niemniej ona wracała... Kiedy oglądam szkice Henryka z jego doktoratu, widzę, że nie wnętrza go zajmowały, a ulice – „ulice pieszne”, świetnie wymyślone pasaże, z funkcjami służącymi spotkaniom i z sugestią, aby takich ciągów – atrakcyjnych! – nie oddawać bankom, nie tworzyć tam biurowców, bo one zabijają przestrzeń miejską rozumianą jako miejsce towarzyskie. Kiedy czytam kolejną jego pracę kwalifikacyjną, tym razem na stopień docenta, zatytułowaną „Umeblowanie przestrzeni otwartej miasta”, to upewniam się, że architektura go rzeczywiście fascynowała, a doświadczenie scenografa pozwalało kompletnie inaczej podejść do tematu aranżacji przestrzeni: niezależnie od tego, czy była wewnętrzna, czy zewnętrzna – musiała odpowiadać na pytania o sens, cel – po co, na co i dlaczego się ją tworzy i oddaje ludziom. „Meblowanie” podporządkowane funkcji.

Miał szczęście do ludzi, miał szczęście, że jego mentorami było dwóch wybitnych profesorów – Jerzy Schmidt, architekt i urbanista, twórca m.in. koncepcji Winograd i Rataj, oraz Stanisław Zamecznik, architekt, wystawiennik, grafik, scenograf, człowiek wielu talentów i aktywności. Dzięki nim jego własna twórczość była osadzona w bardzo szerokim kontekście: widział (i wiedział) więcej.

W latach 1970–1996 zajmował się scenografią teatralną. „Odkrył” go Roman Kordziński, zaliczany do tzw. „młodych zdolnych” (termin ukuty w 1969 roku przez Jerzego Koeniga). W tej grupie, poza Kordzińskim, umieszczano Jerzego Grzegorzewskiego, Izabellę Cywińską, Macieja Prusa, Bogdana Hussakowskiego, Piotra Piaskowskiego i Helmuta Kajzara – to oni zmieniali teatr; byli wielką „siłą i zjawiskiem” sezonu 1968/69. Henryk rozpoczął swoją przygodę z teatrem od *Balu manekinów* B. Jasieńskiego w Teatrze Polskim w Poznaniu, w reżyserii Kordzińskiego właśnie. Chwilę później, także z Kordzińskim, realizował *Kordiana* Juliusza Słowackiego, (prem. 14.03.1971 Teatr Polski w Poznaniu) – spektakl, który przyniósł mu wyróżnienie na XI Kaliskich Spotkaniach Teatralnych i chyba określił styl: w jego scenografiach zawsze czuło się architekta wnętrz. Jak



zauważył dr Stefan Drajewski, niegdyś pisujący o teatrze m.in. w „Głosie Wielkopolskim”, pomysły teatralne Henryka zawsze były oszczędne: maksymalnie otwarta przestrzeń i jeden centralny element architektoniczny, który stanowił swoistą syntezę, zawierał w sobie całą ideę spektaklu – wizję inscenizatorską zamykał w znaku. Tak było właśnie w *Kordianie*. Centralny punkt na scenie stanowiła szopa zbita z potamanych desek. Andrzej Lis pisał tak w „Teatrze” (nr 10 /527/ 1974 – 16-31 maja) o plastyce przedstawienia: „Na scenie biały, półokrągły horyzont wyobraża przestrzeń kosmiczną. Centralna (środkowa) część podłogi to czarne koło symbolizujące ziemię. Na ziemi ustawiona jest szopa, która oznacza Polskę jako miejsce sakralne (kontakt z ziemią poprzez rozwarte wrota, z kosmosem – poprzez schody wznoszące się na szczyt szopy). Jest to zarazem obraz łączności z piekłem i niebem. Pierwsze rozświetlenie sceny ukazuje obraz przestrzeni z wiszącym nad szopą aniołem: przynależący do nieba, pozbawiony asysty ludzkiej, obecny przez cały spektakl wyobraża jedyny trwały punkt, do którego wszystko i wszystkich odnieść można; symbolizuje i sygnalizuje obecność idei”. Dodajmy do tego opisu jeszcze czerwone płótno spływające z dachu szopy, które raz jest płaszczem cara, innym razem lejącą się krwią... Proste znaki o zwielokrotnionym znaczeniu. Plastyka oddająca (uzupełniająca) myśl reżyserką celnie i oszczędnie... Miejsce komunikacji, miejsce relacji międzyludzkich. Jak ulica, jak plac, jak wnętrze obiektu, którego funkcja jest wyraźnie określona.

Zrealizował ponad czterdzieści spektakli. Najwięcej z Romanem Kordzińskim, ale współpracował też z Andrzejem Wanatem, Izabellą Cywińską (dla Teatru TV *Historia o starym wdowcu z 1637 P. Hacksa*), Markiem Koterskim, Krzysztofem Rościszewskim, Grzegorzem Mrówczyńskim (słynne *Łyżki i księżyc E. Zegadłowicza* z 1984 roku). Po tych pracach zostały szkice, projekty kostiumów, niewiele zdjęć, kilka zdań w recenzjach. Nie dokumentowano wtedy scenografii, nikt o tym nie myślał. Jeśli robiono zdjęcia – to portretowe aktorów, do prasy. W archiwach telewizji też niewiele można znaleźć: kilkusekundowe migawki w serwisach informacyjnych z dwóch czy trzech premier. Szkoda. Pamięć jest ulotna. Jeśli czegoś Henryk żałował, to właśnie tego, że po stanie wojennym coraz rzadziej pracował jako scenograf. Ta działalność była dla niego ważna. Artystycznie i intelektualnie. No, ale Kordziński też coraz częściej reżyserował poza Poznaniem, a Henryk w Poznaniu miał studentów, uczelnię – tego nie mógł i nie chciał zostawić. No i miał tu rodzinę, a to było najważniejsze.

---

### **Prof. dr hab. Henryk Regimowicz (1944–2023)**

Studia w latach 1963-69 na Wydziale Architektury Wnętrz Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Poznaniu (dyplom z wyróżnieniem u prof. Stanisława Zamecznika).

Tytuł naukowy profesora sztuk plastycznych otrzymał w 1993 roku z rąk Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Lecha Wałęsy.

Związany z PWSSP w Poznaniu (obecnie Uniwersytetem Artystycznym im. Magdaleny Abakanowicz) od 1970 roku, pełniąc m.in. funkcje dziekana Wydziału Architektury Wnętrz i Wzornictwa Przemysłowego oraz przez dwie kadencje prorektora ds. nauczania.

Współtwórca kierunku Scenografia na Wydziale Architektury Wnętrz i Scenografii.

W latach 1994–2010 profesor WSSU w Szczecinie, 2004–2011 ASP we Wrocławiu, 2010–2014 na Akademii Sztuki w Szczecinie.

W 2010 roku uhonorowany przez Senat Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu medalem „Scholae Bene Merito”, a w 2013 roku, decyzją Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Srebrnym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.



Il. 2. Henryk Regimowicz, fotografia z archiwum rodzinnego, dzięki uprzejmości Anny Regimowicz-Korytowskiej i Natalii Regimowicz

# ZA

**Zeszyty Artystyczne**  
nr 46 / 2024 / rok XXXIII  
ISSN 1232-6682

**Redaktorka prowadząca**  
Hanna Grzeszczuk-Brendel

**Redaktorka naczelna**  
Ewa Wójtowicz

**Zespół redakcyjny**  
Magdalena Kleszyńska  
Izabela Kowalczyk  
Justyna Ryczek  
Marta Smolińska

**Sekretarzynie redakcji**  
Karolina Rosiejka

**Skład i projekt graficzny**  
Mateusz Janik

**Korekta**  
Joanna Fifelska, Filologos

**Kontakt**  
<https://za.uap.edu.pl>  
[zeszyty.artystyczne@uap.edu.pl](mailto:zeszyty.artystyczne@uap.edu.pl)

**Wydawca**  
Uniwersytet Artystyczny  
im. Magdaleny Abakanowicz w Poznaniu  
Aleje Marcinkowskiego 29  
60-967 Poznań

<https://uap.edu.pl/>  
+48 61 855 25 21

Wydział Edukacji Artystycznej  
i Kuratorstwa

<https://za.uap.edu.pl>

© Copyright by Uniwersytet Artystyczny  
im. Magdaleny Abakanowicz w Poznaniu,  
2024

Wersją pierwotną czasopisma jest wersja  
drukowana.

Nakład: 100 egz.

**Druk**

MJP Drukarnia Poterscy Sp. j.  
ul. Romana Maya 30  
61-371 Poznań

UAP | POZNAŃ

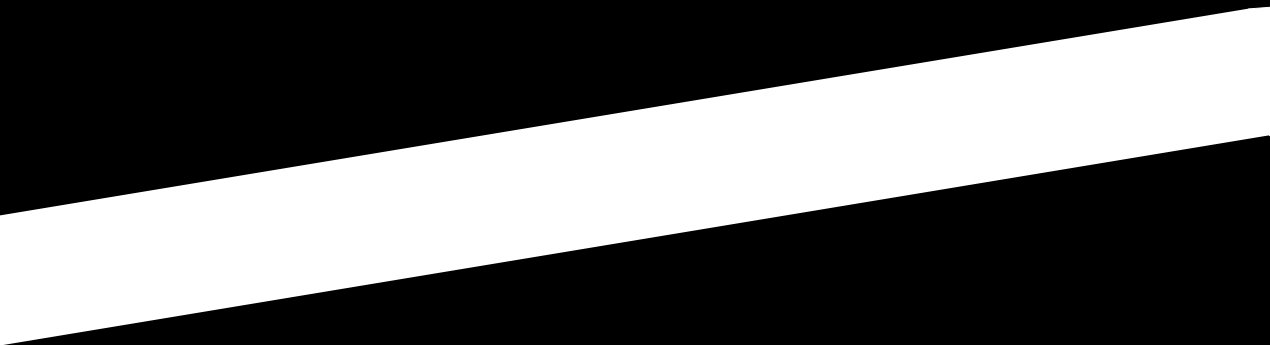


WYDZIAŁ EDUKACJI  
ARTYSTYCZNEJ I KURATORSTWA

**ΔBΔKANOWICZ**  
**UNIVERSITY**

**Ilustracja na okładce:**

Berlin, plan mieszkania w kamienicy  
czyższej ok. 1896 (Eberstadt R.,  
*Handbuch des Wohnungswesen  
und der Wohnungsfrage*, Jena 1909)



nakład 100 egz.

ISSN 1232-6682

